

BOHAWITNY DZIEJE MEZATEK POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy)

— Nie. Nie martwem niemiernym słowem, ale nleż żyć. Rozważać, to znaczy zranieć tysiące serc. Pomyśl tylko! Niema prawie litewskiej rodziny, któraby nie była związana najdroższymi węzłami z Polską. Któż może być na zimno targacz? —
— Ja widzę, należałoby do ugodywów.
— Nie żartuj, nanie to boli.
— Wiesz tak samo powinniśmy się zapatrywać na Niemców i etcetera. Przecież i tu mogą być i są dramaty.
— To co innego. Tam naród zaborczy, a tu naród, który z nami cierpi.
— I nas gnębił, tak samo, jak ich gnębiłono.
— Nie gnębił, Wilu, ale... może że swą wrodzoną lekkością zapatrywał się na nich, że obcy mu pochodzeniem naród wessie się w jego krew i ciało. Może nie odczuł ciępli, utajonej dącości obcej mu rasy do zupełnie niezaleźności. Wreszcie to wina naszych ślepieli, że nie usilowali podnieść narodowej kultury, a toneli tak chętnie w jej, która stała już na wysokim poziomie. Cóż znaczący te tęsknoty Mickiewicza za Litwą, skoro ich nie wypowiedział choćby częściowo w rodzinnym języku, albo cudnie dźwięki Moniuszki, skoro nie występował w nich swojej prawdziwej ojczyzny?
— Nam pozostaje tylko zupełnie odparowanie się — rzekł twardo Witold.
— I cóż z tego? Dlatego chyba, żeby nas łatwiej zgnieł.
— O!... Litwy już nie zgnie! To nad, który dopiero zaczyna żyć... — rzekł z dumą. — Ma się nieszczęście... Ewolucja jego zrobi.
— My musimy wskazać swoją narodowość, stworzyć swój język, swoją kulturę, iść w przyszłość samodzielną, swoją własną drogą, a nie ta, którą wy chcecie iść. Nie droga niewiasty, podjudzani i żgryzty. Bo to demoralizuje nasz do- bry, prawy naród — mówił Rute.
Usiedli na piłu zlanego drzewa.
Witold myślał o tym ludzie swoim, i nagle wszystko co niemało odruchowo wypowiedział w gniewie przed godziną w willi Trochickich, zaczęło przybierać kontury wyraźne, gnębne.
Widział ten lub biedny, w brudnych chatach, mówiący jakimś niezrozumiałym językiem, lub posługujący się niewiasty, który zlanego drzewa, który pochodził myśli, daleko rzucił światło, rzadko ogładane przez dzieci, z której wy- trysły. Lud zamknięty w klatce, żyjący w ciemności, w wieżach nowego Boga, nową religią po- tajejce religii pętlą i zwałęjając jego umysł do obrządków i mistycznych obłędów.
Witold tęskną myślał iedną tu tym lasom o głębokim, zadumanem spojrzeń, w których błędła niekiedy wieczną niedolą dusza jego pie- knie, pełnej potęgi kraiń.
I znów wsercu jego zawrzał gniew i podniósł głowę głęboka niechęć.
Ruta to odrzuciła. Przytuliła się do niego.
— Nigdy tak, Wilu! Nigdy przedziwni! Nie- zależnie zupełnie od nich, samodzielną, stniła własną kulturę, własnym ciałem bardziej rozwija- jącym się językiem z hasłem: „Litwa dla Litwi- nów” iedną razem z nami ramie przy ramieniu jak dwa bratnie narody. Przed godziną powie- działeś tam, w willi: „wówczas mój wódz litew- ski, zabrawszy rozprzeczne sły, popędzący na pomoc Polakom i, wsiadłszy na kark wozu, zwy- ciejstwa dokonali”. I tak zawsze musi być, Wilu tak zawsze... Razem!... Wówczas tylko i my i oni będziemy silni.
Światło gwiazd nieprzekradło się przez li- ste i pokrywało misternie wykończony srebrny koronkę podobną ze wzruszenia twarzy Rute, który był blyszczący oczy, głęboko zadumane myśli.
Zapatrzył się, aż do samopaliństwa, w jakimś modlitewnym zachwycie w oczy tej gołębic, no- szącej gałązkę oliwną pokoiu —
Uczul, że kocha bezgranicznie Rute.
Napływały pytania, doświadczone, rzadliwe, bergięno. Pytania wyraźne, niepojęte dawniej, teraz doskonale zrozumiane.
Ożarzać stołczym... myślał. Wyrzucił się Ruty... Nie demoralizować społeczeństwa złym przykładem... Nie wyrzucić z równowagi to- go, co idzie po utartej drodze... kusić widzą siana moralności przez drapieżników życia, wysysają- cych łatwościę dusz, jak poganiacze wysy- skującą naiwność osłów.
Zmarznął swoją i Ruty przydole.
Perły, kroczone tłumowi, który przez nie prze- jdzie do kasy życia!
Nalóg analiła dątała. Witold w skupieniu nagle przywoływał chłodną rozważę. Wzysłi mniem swego ducha i sły swojej wytrwałości. W so- bie samym doznakiwał się prawdy, w samego sie- bie wchodził jak w labirynt.
Ale pękaty już ostatnie ognia logiki niezro- zumień postawione. Nienarodzona jeszcze w świadomości pewność puł wadała podwado- dem, już tworzyła szczęśliwe jutro.
Przez całe życie żył myślą o Rucie. Pamięć o niej broniła go od upadku. Jej tylko chciał od- dać bogactwo młodej kochającej duszy, pierw- szę drzeź rozkoszy niepokalanego ciała. W wy- razach zawsze widział jej młną postać. Pochylała się nad nim, gdy zmierzchnięte bralo go w swe szpony. Wytrwała walka musiała przynieść za- płatę z lichwą.
On, który umiał w imię ukochanej poskromić w sobie najsilniejsze z instynktów — zwierza na- miętności, potrafił wyrwać się z Ruty i jej i swo- jemu życiu nadad kierunek.

W sąsiedniej willi ktoś grał przesłonicznie. Dźwięki zdawały się spływać na pierla, na włosy.
Powietrze było czyste, błękitne i pełne mowy jak w pierwszy dzień stworzenia. Na dalekim horyzoncie chwilały się obłoki, podobne do fal z piany, a wśród nich błyszczały archipelagi gwiazd. Z mgiły powlewały szopy białe, tajem- nicze — ramiona wygięte w dół, gięące w dół brzoza. Jak tuncy gotyckie, wznosiły się od- wężne tople, pod którym zdawało się odby- wać celebrowanie mszy północnej.
— Świętynia wazechwata, o której ma- rzył Lamartine — szeptał Witold.
Pochylił się ku Rucie.
— I nigdy ci nie nie uzupełno. Rutenko, że inne coś czeka szczęście...
Głos mówił to, co słowa nie dopowiadali.
Podniósł na niego oczy tak drogie i tak te- raz smutne.
— Nie rozumiałam, że byłś jedynym mo- jem ukochanym — odrzekła z bólem.
Przyględnę do siebie, a oczy ich płonyły jak żarzące się lampy w sanktuarium. Nie mówił nic, jakby w obawie, żeby słowa nie spłoszyły czarownego snu.
Witold myślał, że chyba miłość ich poczęła się na jakichś wysokich chmurach czystych, na wyniosłych górnym kraju ideałów.
I gdy Rute spojrzała na niego, miał taki wy- raz twarzy, jakby spał godzinę w świątyni na rozmyślaniu podniosłem, dalekiem od mętów ży- cia.
— To ci ja przeżywałem teraz, mógłbym wy- spiewać na strunach skrzypce, albo lepiej jesz- cze na prostym ludowym instrumencie litewskim. Słów nie mam.
Całował jej usta posłomkowe, i zdawał im się, że leżą, nienieśli tytanicznym wrem dźwięgieli fal z bystrością zawrotną w bezmiar nieogarnionej myśli rozkoszy.
I była dziwna mowa w tej noc gwiazdziej, pchniętej świetnym liściem, przebudzeniem wo- dowej o bliskiem szczęściu. Nie słychać było ani skarg, ani płaczu tych, co umierali. Życie wkrze- szalo...
W przestworze!... Na swobodę... w góry... po- nad wszystko!...
Po odprawieniu Rute, Witold wrócił jesz- cze do lasu, idąc, podawał twarz swą pod wiatr północny. Szedł, nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie. Radość młodych przeżyć szumiała w nim daleko, zwiędła modlitewny namięt. Uwierzył smutkiem mogiły przeszłości. Uchodziła coś nie- wiadomego... Zapalał się świt. Z talami powietrza Witold pili radość.
I on, dotychczas czysty, jak niewinna dźwię- czość, w wyobraźni brat zuchwałę tu ukochaną swą. Na marmurowej jej pierś kładł gorące u- sta i plynął z niej jakby na oceanie mlekoch, ko- szaryjących się fal, wstuchanych w namietny szep- zbutnowanych zmysłów swoich.
ROZDZIAŁ XVIII.
Olek był dziś wieściaki. Małe Trockie uni- kały go. Szaro półwiosła się obok ich willi, Fran- cuszka, że skoro zabierała i wracała do domu.
W sercu jego wiała chęć gromy. Przycho- dziły mu różne projekty do głowy. Jedne dziki- ze do drugich, ale zawsze niewykonalne.
Idę, kamał galeję, szły głowy kwiatów, miastdyi robaczki, mrowki. Mała zabę, która du- go ratowała się od jego obcasów, połozyl na ka- myku i satuki.
Naucał się jej męka.
Oczy pełne gniewu latały dokoła, szukając ofiar.
Pra-pra-duch zniszczenia znalazł w nim sie- dliśko. W całym mózgu chłopca już tkwiły za- rodki występków: może złodziejstwo, szulerstwo, zwyrodnienie, które sprząłyby grunt obcywał doskonale wychodować.
Z daleka dojrzał Michę. Chodziła sama jed- na między drzewami i patrzyła pilnie na ziemię. Serce zabiło mu radośnie.
— Czego szukasz? — spytał uprzejmie.
— Aeh, zgubiłem moje stołe surduko. Mi- chałam je przed godziną jeszcze na akasemle u szty. Mademoiselle będzie się gniewała — mówiła stralo- nym głosem.
— Poszukamy razem. Ja mam szczęście tak- ie, że zawsze znajdę zgubę — rzekł gębie.
— Nawet kdał mi się, że tam mi coś blynęło, gdyś przechodził.
Wskazał ręką dale, na łąkę.
Sukał hily pilnie, a kondotierski jego umysł wysłał się żeby obmyślił jaką zdradę.
Michała szła z nim, wiedzona nadejście, że zgubę znajdzie. Gdy już odeszli trochę od willi, Olek rzekł:
— Znalazłbym napewno, ale cóż kiedy cza- su nie mam. Muszę iść karmić ptaszka moje.
— Masz ptaszki? — spytała Michała, zain- teresowana.
— Och i jakie cudne! Żebyś je mogła zoba- czyć. Małuchę w gniazdku. Z ręki kulki białej.
— Jakiego koloru?
Oczy Michy blyszczęły jak dwa szkiełka.
— Żółte, żółte.
— Żółte, żółte — powtórzyła z zachwytem.
— Chpdi! zobaczysz.
— Nie... nie... Boję się mademoiselle.
— Och zanił się opamięta, że ciebie niema, będziemy z powrotem.
(Ciąg dalszy nastąpi)

WYWIAD Z ALEKSAN- DREM SKRZYŃSKIM Delegatem Rzeczypospolitej Polskiej przy Lidze Narodów

Współpracownik warszawski go „Echa” zdaje w sposób na- stępujący sprawę z wywiadu następującego z p. A. Skrzyńskim:
— Stosunek nasz do Ligi Na- rodów (rozpoczął p. delegat nie jest taki, jakim być powi- nien, aczkolwiek należy podkre- ślić z uznaniem, iż ostatnio — zwłaszcza wśród kręgu sejmowych — budzi się coraz większe zrozu- mienie dla ideałów i znaczenia Ligi.
Stosunek ten cechuje z naszej strony pewną, że tak się wyrażę, gorę, mającą swoje podłoże między innymi w fakcie, że czę- stoko było bytnym wobec Ligi kien- tem, stronną. Wobec tego trzeba być przypominieć, że jednakże wiele spraw, jak naprzykład roz- znaczenie Górnego Śląska, zadecydowała Liga na naszą ko- rzysć. Cade nieporozumienie między Polską a Ligą — a istnie- je ono niewątpliwie — polega na moim zdaniem — na niezrozu- mieniu przez nas faktu, iż Liga jest wielką ideą. Odegra ona bar- do wielką rolę w najbliższej przyszłości. Idea Ligi Narodów jest następstwem głębokiej prze- miany politycznej, dokonanej przez wojnę światową, w której zwycię- żyły hasła i ideały Wilsona. Wojna udoła doprowadziła do demokratyzowania narodów. U nas niestety nie docenia się tego skutku tej idei. Mówi się, iż jest ona słaba, gdyż nie posiada eko- nomicznej idei. Idea ta jednakże le- gająca przeciwnieństwem syste- mu przemocy, systemu imperial- nistycznego, upostaciowanego w Hohenzollernach — zdusila Niemcy.
Nie należy zapominać, że idea Ligi stoi na straży wolności na- rodów. Każda idea jest niebez- bezpieczna. Przynajmniej. Przesa- da w niej może doprowadzić w rękach jednych do nadużycia, w innych zaś może zadziałać dużo dobro- go.
— Powstała tedy pytanie, czy Polska dobrze się obchodziła z tą ideą?
— Nie. Stało się to bez winy Polski, gdyż przyszła ona na świat bez granic, kolejno je otrzy- mując. Proszę nie zapominać, że do- piero kilka tygodni temu urę- gnowaliśmy ostatecznie naszą granicę z Czechosłowacją.
— Oprócz tego Polska miała poza traktatami różne konwencje, jak gdańska, górnosląska i t. p., które z natury rzeczy wiązały ją z Genewą. Wytwarzało to w Po- lskie przekonanie, iż jesteśmy w stosunku do Ligi stroną, klien- tem. Przekonanie to spacyło głównie nasz stosunek do Li- gi.
— Dziś! więc, panie delega- cie...
— Winiśmy się starać, abyś- my z ról kłopotliwych przeszli do roli współgospodarzy. Nie mo- my stać z Ligą na przeciwie- głych biegunach. To idee bo- wiem, które stworzyły Ligę, stworzyły również Polskę.
— Czy pan jest przekonany, panie delegacie, iż zmiana w u- stosunkowaniu się Polski do Li- gi nastąpi?
— Tak. Wierzę bezwzględnie

Podrózujcie „FRENCH LINE” Droga SZYBKA OBSŁUGA - NEW YORK-HAVRE-PARIS - SZESZ DNI WODĄ GDAŃSK-KRAKÓW-LWÓW-WARSZAWA

PARIS	11 Czerwca 2 Lipca, 23 Lipca	ROCHAMBEAU	4 Czerwca, 5 Lipca
FRANCE	18 Czerwca, 8 Lipca, 30 Lipca	LA SAVOIE	7 Czerwca, 19 Lipca
		CHICAGO	21 Czerwca, 24 Wrs.
		LAFAYETTE	28 Czerwca, 16 Wrs.
		SUFFREN	28 Czerwca, 12 Sierp.

Na wszystkich naszych specjalnych początkach, spotkaniu i podróżach, w których podróżować z Wami będą przez całą drogę. Agenci Europejskiej French Line pomagają rodzinie i kłopotom i otrzymają paszporty i wizy, jakoteż są wszystkie formalności podróżne bezpłatne. Drugie i trzecie klasy są urządzone bardzo wygodnie, ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami, umywalni, wodociąg w każdej kajucie, nie towarzysze, nie do palenia, nie do kłopotu. Roz- koszuje się białe, alicajny kuchnią francuską, jakoteż możecie otrzymać ulubione potrawy raz z na- polami do których przyzwyczailiście się. Uprzejmym Wam czas muzyka, tańce, radio i inne rozrywki.

Do dalsze szczegóły zgłoszcie się do lokalnego agenta lub

FRENCH LINE 19 STATE ST. NEW YORK

w znaczne wzmożenie się presti- zu Polski na arenie międzynaro- dowej. Ma ona wszelkie pra- wa do tego. A wówczas otrzy- ma ona to stanowisko, jakie się jej należy.

— Jak pan delegat przedsta- wia sobie pracę na terenie ge- newskim?

— Dokładnego szkicu nie mo- że oczywiście jeszcze podać, gdyż organizacja pracy jest w toku i koncentruje się ona w rządzie. System pracy zale- ni się o tyle, że przy stałej dele- gaturze odpadnie cała masa re- zercowników, co pracę uprości. Będziemy używali minimum lu- dzi. Sądzę, że zwykła obsada poselska I. klasy sprosta temu zadaniu. Oczywiście najwięk- szą nacisk będzie położony między innymi na ścisłą łączność mied- zy Warszawą a Genewą. W tym celu część delegacji pracować będzie stale w Warszawie.

— Czy — zdaniem pana dele- gata — nie należałoby ze wzglę- du na różnorodność naszych spraw w Genewie, zorganizować dobrze tyły naszego frontu, t. j. skoordynować pracę posze- gólnych ministerstw?

— Owszem. Ta rzecz jest w toku i nie wątpliwe, że przy tem skoordynowaniu sytuacja nasza w Genewie znacznie się upro- ści, skondensuje, a przez to wiele spraw spornych będziemy mo- gli daleko lepiej i krócej popro- wadzić.

— Kiedy nastąpi wyjazd dele- gacji?

— W drugiej połowie maja.

— Wierzę zdaniem pańskim, cały problem polega...
— ...Na rzeczy zasadniczej: Musimy być członkiem, współ- obywatelami Ligi Narodów, gło- sząc ideą demokracji, wolności i pokoju.
— Nie widzę powo- dów, żeby przeciwstawiać Inter- esy państwowe Polski ideałom Ligi. Gdy potrafimy wzbudzić zaufanie do swej polityki, zby- teczna będzie wówczas interwen- cja Europy.

WIADOMOŚCI Z NEW JERSEY

NEWARK
Oszukał bandytów
Dwaj zamaskowani bandyci, którzy obrabowali sześciu mę- żczyzn w mieszkaniu pn 1000 N. Canal ul. wczoraj, myśleli, że za- brali wszystko co tylko było wa- żne, ale omylili się bardzo, bo jeden z ofiar ich śmiałego na- padu ocenił swoje 200 dolarów.
Bandyci weszli do kuchni, wy- żeł wspomnianego mieszkańca, wrócić po północy. Jeden z nich miał rewolwer, a drugi du- żą brzytwę. Podczas gdy jeden z bandytów przetrząsał kiesze- nie, wszystkich po kolei, niejaki Tony Pico upuścił swoją portmo- netkę z pieniędzmi na podłogę. Bandyta zabrał mu tylko 25 centów, a portmonetki z dwu- stoma dolarami nie zauważył. Ogółem jednak zdobył bandy- tów dosięgła 100 dolarów.

Polubili go
Poraz trzech, w dwóch tygo- dniach strzelić wamali się do sklepu Marka Setera, pn. 672 Springfield ave., i zabrał mu 10 dolarów gotówki z kasy i to- waru wartości 30 dolarów.
W pierwszym dwóch razach złodzieje zabrał Seterowi, to- war grosernyj, przedstawia- jący wartość przeszło 100 do- larów.

JERSEY CITY
Nie tak źle się zakończyło
„Niema złego, któreby nie wy- szło na dobre”. Mówi stare prze- słowie. I zięściło się ono dla Flary Robina z Princeton, któ- re po kilku z meciem posłała nie- szczęśliwym Williamowi Rodwellowi, żonaty w Jersey City.
Robina wybaczył żonie i wzro- raj przyjął ją z powrotem do swego mieszkania, gdzie znowu pozycie ich jest wesole i sz- zęśliwe. Natomiast uwodziłca żony, Rodwellowa czeka rozpra- wa sądowna, za przekroczenie pra- wa, t. zw. „Mann Act.”

Wypadek automobilowy
Wczoraj wieczorem samochód operowany przez M. Hutchin- sona z Elwelyn Park, naje- chał siedemnastoletnią Sarah Stillman, z pn. 272 Third ave. przy Jersey ave. Hutchinson na- tychmiast odstawił ranną dzie- wczynkę do szpitala św. Francisz- ka, gdzie dr. Cozart opatrzył jej rany na głowie, ramieniu i praw- ręce, poczem odwiózł ją do do- mu jej rodziców.

Aresztowany
Jan Wojtylak, z North Ber- gen, został wczoraj aresztowa- ny tutaj za nieostrożną jazdę automobilem. Na stacji policyj- nej pierwszego obwodni urmano Wojtylaka, za planego i zam- knięto go w celi do rana. Dzia- ślal wyatuchać go ma sądzia i ma go ogadzić.

ELIZABETH
Odczyt
W niedzielę, 8go czerwca, o g. 7ej po południu w domu Na- ro-



Do dziesięciodniowej podróży po Alasce major Martin i sier- żant Harvey przybłąkali do portu Muller, gdzie zostali wzięci swoje aeroplany, ktorými mieli odbyć lot dokoła świata.

Elizabeta
Zawiadamy Szan. Polonę w Camden, New Jersey, iż Tow. Rzecz Beneficence numer 1 urzą- dzenia pikniku w Cambridge, N. J. (jed- na stacja przed Riverside) na far- mie ob. Plonki przy Brown ul. dnia 8 czerwca 1924 r., w dzień Zielonych Świąt.
Piknik odbędzie się w ślicznej okolicy, muzyka doborowa przy- grzywać nam będzie do tańca; bu- fet zaopatrzony będzie w zimne i gorące przekąski i chłodne na- poje, jakoteż rozmaite niespod- zianki, zabawy, błęgi i ciagnię- cie sznurka, za co będą rozdawa- ne nagrody.
Zapraszamy Szan. Polonę z Camden i okolicy o liżnie przy- bycie, a za dobre ubawienie re- czy KOMITET.
P. S. — Riverside lub Trenton tramwaj wzięć przy Market St. Ferry i wysiąść przy Cambridge Crossing. Wiza autobusowa o- cekiwać będzie o 7ej pop., róg 10tej i Liberty ul. Wrazie nie- pogody piknik odbędzie się w na- stępną niedzielę.
Tel. 609, Waverly 4831
Dr. Józef Michalski
były Major-Lekarz Wojsk Polskich
14 Belmont Avenue
NEWARK, N. J.

SECRET
CONFIDENTIAL

